

PIEŚŃ



GŁODŹE

N 3134

W. J. Feldman

BRUNONA JAŚEŃSKIEGO:

BUT W BUTOŃERCIE. stron dziewięćdziesiąt sześć.
(wyczerpane)

PIEŚŃ O GŁODZE. krakow. "Niezależni" 1922.

FOOT-BALL WSZYSTKICH ŚWIĘTYH. antyewangelja.
z portretem autora pszez tytusa czyżewskiego.
okładkę projektował zygmunta walliszewski.
(w druku)

POD REDAKCJĄ BRUNONA JAŚEŃSKIEGO:

1-a JEDNODŃUWKA FUTURYSTUW. manifesty futuryzmu polskiego. czerwiec. 1921. (wyczerpane)

NUŻ W BŻUHU. 2-a jednodynka futurystuw. listopad 1921. (skonfiskowane w okręgu warszawskim).

PIEŚŃ O GŁODŹE

pierwszy tysiąc

No



**egzemplarze nenumerowane będą
prawie ściągane**

wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przedruków zastrzeżone.
copyright by bruno jasiński nineteen hundred twenty-two.

BRUNO JAŚEŃSKI

PIEŚŃ O GŁODŹE

WYDAŁ: INSTYTUT WYDAWNICZY
„NEZALEŻNYH“ — KRAKÓW — 1922.



CM 314506

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 144 /2011/ CM

R E Ń I

W ROCZNICĘ ŚMIERCI

7 — V — 1922

ZAMIAST KWIATÓW

libres de tous liens
donnons-nous la main

apollinaire

Prolog

w wielotyśecznych, stuulicyh miastah
wyhodzą codźenńe tyśące gazet,
długie, czarne kolumny słuw,
wykszykiwane głośno po wszystkich bulwarah.
piszą je mali, starši ludźe w okularah.
ńeprawda,
pisze je Miasto
stenografją tyśąca wypadkuw.
rytmem. tętnem. krwią.
długie czterdźestospaltowe poematy.
wystukują je stutyśeczne aparaty,
kture słyszają puls świata za miljony mil,
agencje reutera, havasa, paty,
długie, kilometrowe papierowe zwitki.
komuńikaty.

miasto słyszy wszystko.
wie za kogo wyhodzi kseźniczka hiszpańska
i co spiskują w gdańsku niemcy wciąż niesforńi,
o budowie w himalajah nowego wiaduktu,
radiodepesze z kalifornji
i stan pogody w timbuku.
o wszystkim pisze miasto w swoich 40-szpaltowych
poematah:
strajki w elektrowniach. pszejechańa. samobujstwa.
oto jest prawdziwa gigantyczna poezja.
jedyna. dwudźestoczterogodźinna. wieczńe nowa.
ktura dźała na mńe, jak śilny elektryczny prąd.
jak śmieszne są wobec niej wszystkie poezje.
poeći, jesteście niepotszebńi !
ja nie czytam strinberga, ani norwida,
nie pszyznaję się do żadnego spadku.
czytam świeże, pahnące farbą dźenńiki,
z bijącym sercem pszegładam rubryki wypadkuw,
kture mńe kłują, jak ostre pilńiki.

o, nadzwyczajne wypadki.
samobujstwa. podźuceńa. katastrofy.
krutkie spięća. tajemńicze pożary.
czarne strajki. rozstszełańa. napady.
jaka ogromna kryje się w was tajemńica.
niepszetłumaczalna.
tajemńica pulsujących miast.

kszyczy w was ukszyżowana ulica.
żywe, odpreparowane od naskurka mięso.
ja,
ktury śpię,
kiedy otello morduje desdemonę,
czuję, jak mi się nogi pszerażone tszą,
gdy na rogu, otoczony gawiedzą
zdyha ślepy, zajeżdżony koń.
oto jest prawdziwy, niemalowany teatr.
wielobarwne, heraklitowskie wszystko,
walące konkretnością, jak obuhem, z nug.
wie o tem dobrze i motłoh,
kiedy gapi się na bezpłatne widowisko.
nie wiedzą tego pańe i panowie
z taktem
pszehodzący na drugą stronę, gdy na płytah
wśród grobowej, naprężonej ćiszy
idzie ciężki, pszedśmiertelny balet.
panowie nie mogą pogodzić się z faktem
że teatr ten ma wiele niewątpliwych zalet.

piszą o tym wszystkim gazety.
piszą więcej.
w rubryce nadzwyczajnych wypadkuw
są małe, niewyraźne wzmianki
o śmierciah

jakiś niewiadomych ludzi,
które się kończą słowami:
„...zawezwany lekarz pogotowia skonstatował
śmierć głodową . . .“

o niewiadomi, bezimienii ludzie
zagłodzeni w saharach milionowych miast,
kturym nie miał kto podać nawet bułki z masłem.
o wasze śnie, popuhnęte trupy,
jak o własne,
upomni się żarłoczne, wszystkożerne Miasto.
czarne, natłoczone prosektorja
wyeksploatują wasze zwłoki,
rozdłubią resztki waszych ciał od kości.
wy jesteście pszedziwnym nawożącym sokiem
wielkiej, nieobliczalnej, wspańskiej Ludzkości !

daj tważ do kolan swoich pszytulić.
krew z twoich palców zliżem.

z odżuconymi bezwładne
rękami
ulic
leżało Miasto kszyżem.

pszybili go do ziemi ćwiekami lamp
jażące białe gwoźdże wżarły się,
jak kszyki.
pszyszła noc
i pszyłgnęła do krwawych ramp
palącą hustą werońiki.

okropna,
lepiej deszczem po tważy tłuc,
jak tych
ukszyżowanych na bramach rajuw.
krople czarne,
maleńkie,
natrętne,
wyżuczone z krwią razem zpowrotem
z płuc
po czarnej pooranej szynami tważy
spłynęły łzami tramwajuw.

jeszcze i jeszcze
bezkształtne, wypukłe
domy czarne, obślizgłe, karmione deszczem
napęczniały, jak gąbki,
napuhły,
rozlały się, rozpełzły rozdęte, stulice
wystąpiły na hodniki z ćemności,
zsunęły się,
pszyćęły kszyczącą ulicę
— ludźe !
— pomuźće !
— rozgńotą !

wypłynęły w uścisku skrwawione wnętrza

i bez jęku wylały się w błoto.

a czarne ściany rosną,
ciągną się do gury.
zasłoniły całe niebo,
zakryły szczyty,
jakby ogromne ołowiane hmury
na ziemi ułożyły meeting.

nie będę żył, jak kato, nie walczył, jak samson.
głód, który rośnie we mnie, cisza mną w gorączce.
był człowiek, który nie jadł, nazywał się hamsun
i zrobił na tym puźniej sławę i pieniądze.

na wytartej kanapie, skręcony w sześć
leżę przecząc do gury zsińały profil.
dzień odhodząc był długo zjeżywszy szerść,
a teraz noc mi śpiewa swe dziwne strofy...

zaraz sufit bez szmeru zsunie się w pokój.
pszygające pomaleńku
ciho i jasno.
wolno tynk się na ścianach rozdwoił,
jakby pokuj wargami mlasnął.

ścian rozmokniętych bezżebne dźgała
poruszyły się wolno.
żują cmokając.
nagle stul po podłodze zaplęsał
i piec podskoczył, jak pajac.

coraz bliżej i bliżej zsunęły się ściany.
nie odephnąć rękami pełznących tapet.
ciho . . .
na palcach . . .
jak pies ścigany . . .
już tylko za parapet . . .
T E R A Z !!

a ku ku !

głową w dół.
cztery okna
i
trrrah !
o miękki asfaltowy materac.

polećcało.
zatańczyło.
upadło.

i jeszcze
odbity, jak od gutaperkowej posadzki
lecę.
odskakuję od gzymsów, jak piłka,
z deszczem
i w gurę wystszelam świece.

gumową czaszką o bruk
i wyżej
hop !
odbijam się zpowrotem.
do gury i na duł.
z rozpostartymi rękami lecę pod strop
i znowu na ziemię spadam.

już myśli, jak kobiety, walą się z nug,
oćęzałe,
jak kłęby w zbużonym ruszcie.
jeszcze chwila i czaszka tszaśnie o bruk.
— pomużće !
— pomużće !!
— pomużće !!!

pszybiegli wystraszeni.
otoczyli kołem.
w rozpostartego wparli pszerażone oczy.

- nie bujcie się.
- nie kszyczcie.
- nic nie zwihnąłem.
- pszyćśńijcie mnie.
- mocniej !
- odskoczę !!

pohylili się.
pszygñetli.
zagrali na trąbce.
blizkie zmieszane tważe, pszestraszone trohę.
dwuh wyśadło z karetki i wsadzić mnie w głąb hce !
na skołataną głowę wciągną mi pończohę !!

położyli na miękkie.
... daleko.
... pszyszłość.
... długie żelone palmy kołyszą się w czaszce.

Reńu !
to ty ?
jak dobrze że pszyszłaś.
aksamitnymi rękami po tważy mnie głaszczesz.

pamiętasz wtedy wieczur ...
deszcz za oknem śpiewał.

słuchałem czy choć jeden nerw Twój jeszcze drży
mną.

na żelonym cmentarzu teraz skomlą dzewa
i jest tak bezlitośnie, pszejmująco zimno.

teraz sam, jak podżutek pszez pusty pszytułek,
pujdę pomiędzy ludzi daleki i obcy.
w maleńkim gniazdku serca nema już jaskułek,
zabili mi ostatatną żli, negżeczni hłopczy.

hlipiący skowyt z krtani na wieżh się wyspinał.
czepia się Twojej sukni, pełźnie ku dłońom.
ućekać nie mam siły.
nadhodzi finał.
zajadli mali ludzie z psami mnie gońą.

ogromny tłum
z laskami
czarny,
jak powudź
rośnie,
wije się za mną
długi,
jak ogon.
zamknęli dźwi !

zapużno !

nie mam gdzie się shować !

małutki prosty człowiek podstawił mi nogę !!

już.

już.

dopadli.

stratowali.

zmięli.

podeptanego trupa podnieśli, jak sztandar
wysoko

i na pszedze,

nad tłumem

obok kapeli

ponieśli.

śnieg padał gruby i w oczach narastał.

szli ludzie niezliczone, bezładne i tłumne,

kiedy zakrepionymi ulicami miasta

ponieśli mnie w ogromnej ołowianej trumnie.

szli kseza z kadzidlami, jeden dlugi gest rak

i zwiazek literatow w cylindrah i krepie

i cehy z horagwiami,

w tuzurkah,

z orkiestrą,
a potem tłum się czarny na rogach doczepiał.

na placu teatralnym tłum rozlał się w mrowie.
dzwony dwoiły w dzwony i w dzwonach ich kszyc
ńikł,

gdy nagle
straszny,
obandażowany
człowiek
podnosił się ogromny,
groźny,
jak wykszykńik !

panowie !
jestem wzruszony.
widziacie, zbladłem.
żegnacie mnie tak pięknie i tyle tu kobiet,
ale zapominacie, że nic dziś nie jadłem
i muszę iść zaraz na obiad.

o !
cisza .
i ryk jeden !

kszyki . spazmy . płacze.
hałas powstał i tumult.
kszyczeli : „zmartwyhwał“ !
jakby na przedstawieniu opery w teatsze
nagle zaśpiewał statysta.

panowie !
nie klękajće.
nie płaczće.
nie kszyczće.
widżiće, stoję zdrowy, cudowny i prosty !
ah, skurcz się w sobie,
wyksztuś na bruk swoje życie
i idźće z nim pod ręce tańcować na mosty.

nie będziemy już odtąd umierać więcej,
ktużby nas takich pięknych i olbzymih gźebał.
roześmiejće się wszyscy,
weźće się za ręce
i prosto marszałkowską pujdźemy do nieba.

jak może każdy z nas,
co dzisiaj tańczą,
stać się martwym,

śmierdzącym,
po którym się skrupulatnie wykadza zakrystję,
nas,
z których każdy sam jest żyjącą monstrancją
na serca swego białą eucharystję.

pozdejmujcie ich z kszyżuw !
nieh żemią kroczą
ci,
co hcieli pszez wieki umierać za nas.
życie cudownym sokiem trysnęło nam w oczy,
jak pod nożem dojżały ananas !

... z pszyczajonych zaułkuw w noc ku spelunkom
czarna zmowa wypełzła,
wije się, jak skorek.
pohwyćili mnie z tyłu !
wiążą !
ratunku !!
na głowę mi wciągają straszny czarny worek !

pszyszła na głuchońema i w głowah śadła,
małe kaszlące serce pszycisnęła ręką.
słyszę !

żemia już dudni od stup, jak kowadła.
tszymajće !
tętna mi pękna !

z daleka jeszcze.
słońce głowy mi paży.
olbżymi głodni ludźe, czarńi od maszyn !
idźeće,
wiem.
ńe patszće !
ńe tszeba tważy !
každy z was będze mesjaszem !!

o wyksztuś śę z twyh piwnic,
wywal śę na wieżh,
jak krew buhńij pszez okna i wszystko zalej
tłumie hamuw,
co ńebo głowami dżurawisz !
jakie ogromne może wyobrażeń !
jakie cudowne dale !

serce olbżymie w krtani stanęło i skacze.
wypluję pod nogi, w piah wam.
idźeće !
kszyzczyć ńe mogę !

ogromni w zoży pożodze.
trup muj
krwawy,
stratowany,
czerwony,
jak łaħman,
z kturęgo może szmatę na swuj sztandar udrą,
w śmiertelnym zapatszeńu leży wam na drodze,
po kturęj pszehodziće
w J U T R O !

II

w maju,
w zażeleźnionej słonecznej stolicy
spacerowały po trotuarach kobiety dzieci i żołnierze,
gdy nagle
z buhającej aorty pszczyńcy
bęben udeżył.

szli kolumnami,
za rogiem ginęli
szereg za szeregiem rytmiczny i twardy
na pierśach szarych, żołnierskich szyneli,
jak kwiaty,
czerwieniały czerwone kokardy.

za szeregi ulicznicy
z ksykiem i świstem

goñili tańczący,
wyżucali czapki.
ulice się kłaniały białe i czyste.
w wypiekach słońca opadały kwiatki.

pszechodziły kompańje ruwno, jak na mustsze,
bez komendy tszymały swuj cudowny krok,
wszyscy porwańi jednym
miljonowym
spazmem.
i w tłumie błysk bagnetuw odbił się,
jak w lustersze
i zahłysnął się cały dżikim entuzjazmem.

na ulice tłumy jasnych roześmianych ludzi
wyżygały na słońce obdrapane domy.
panny . służące . prostytutki
uśmiejają się do siebie,
jak znajome,
i serca pod bluzkami tłuką im,
jak gongi.
na gmahu poczty i telegrafu
rozwińęta
olbżymia czerwona horągiew
na wszystkich piętrah stukające aparaty

wyżucają podłużne papierowe świstki:
wieść na cztery końce świata
wszystkim . wszystkim . wszystkim.

w tokio zdenerwowany japoński mikado
odbiera rozedrgane, dzwońjące depesze
i rozmawia iskrami z londynem
że wyrosły już, zagrażając zagładą
światu
czerwone ręce proletariatu.

a wieczorem
z czarnego oszalałego miasta,
z katedry,
ciemnymi zaułkami wśród śpiewuw i świstu
w pole płaszcza kryjąc tważ
ućekał hrystus,
gdy nagle tłum go na placu
dopadł.
pohwyćili za ręce.
zawlekli.
czarni obdarci ludźe od kielni i łopat.
zaćągnęli kszyczącego,
boso,
na rug,

na miejscu samosąd.

kuharki zahrypnięte podnosiły pięści:

— za naszą kszywdę !

— za nasze curki, co sę poszły po hotelach łajda-
czyć!

— za nasze stare, sharowane matki !

— za naszą hańbę pszeplakanyh mąk,

— kturąś dzwonkiem zagłuszał i karmił opłatkiem !
kułakami, laskami zabili, zatłukli.

poturbowane, umęczone ęało

upadło pod razami spracowanyh rąk.

w tym samym czasie,

kiedy dusza moja w kaloszach „treugolnik“

w warszawie,

w natłoczonym kinie,

ściśnięta

prużno czekała zbawienia.

w środku detektywicznego włoskiego dramatu

odńehceńa zerwała sę lenta

i na płutnie wśród śmiertelnej ciszy

ukazała sę ta sama scena.

krzyk powstał na sali i pańika.

żućili sę w popłochu do dźwi.

mężczyźni tratowali kobiety.

prużno ćiskał sę pszy aparacie mehańik,

a gdy wreszcie zapalono kinkiety
na ekranie zostały czarne plamy krwi.

po ulicach snują jacyś ludzie,
ćeńe prawie
i giną zańim słowo śę głośno wymuwi,
a w oświetlonej sali tow. hygieńicznego
histeryczne studentki i gawieź
oklaskują żewającą estradę,
z ktorej kłańał śę glinka i kohał śę tuwim
tważe krwią im zahwytu nabiegły
nalane.
czekajće, tważe te, skądś znam !
to tłum ten sam,
ktury we mńe w zakopanem
rozjuszony w bezbronnego ćiskał jajka i cegły.

i kiedy żegnany oklaskami shodził ostatńi błazen,
wszedłem wolno na estradę
i powiedziałem prawie ze smutkiem.

- panowie,
- ńic ńe wieće.
- dostałem depeszę.
- dźiśaj wyjeżdżam.

zdamę się że nikt się nie rozpłakał.
było ciho.
ktoś zaczął bić brawo.
wyszedłem wolno na ulicę.
dorożka odwiozła mnie na dwożec.
kłaśniały się latarnie niewiadomo po co;
gdy poćąg szyby okien hustką dymu czyścił.
shyleńi pod piecami
majową nocą
śpiewali na zwrotnicach czarńi maszyńisći.

ŚPIEW MASZYŃISTUW

słońce pszygąłszy kolanem, skury dymiące się polce
długo do mięsa obdzerał nasz pokrwawiony scyzoryk.
w nocie bezgwiezdne majtkom na świata płonącym drednouce
tważ wylizały do krwi nam zoży czerwone ozory.
nam-li wyrosłym w trudze pod wśćekłą zdażeń ulewą
błądzić po możah uńseń w gwiezdne wsłuhanym kapele?
zgodnym wyśiłkiem twardych rąk rozhuścamy w lewo
czarńi, maleńcy ludże żemi olbżymi propeller.

patszył na wszystko z gury nasz bezpartyjny pan bug.[!]
płakał nad nami deszczem, aż wreszće krwią się wysmarkał.
gdy walec[!]wiekuw gñutł nas, krwi naszej twardych jambuw
słuchało stare słońce łyse, jak łeb bismarka.
długo świeciło w ślepie nam, purpurowym mužynom,
w mordy zwęglone w hutah, do kturyh pszyrusł kopeć.
gdy go, zwleczone na żemię, nuż robotńczy zażywał,
tłum się na trupa żucił krew buhającą żłopać.

z życiem rozgranym pod ręce na świata szerokie trakty
wyszliśmy rano, śpiewając, z płahtą koloru flamingo.
paszcz wytoczonych mitraljez suhe rytmiczne antrakty
w krtah zabijemy z powrotem kulą wypłutą z brauninga.

kto nam, kto nam teraz drogę zagrodzi samym ?
wszystko zmiażdżymy butami piękni, ogromni i ludzcy.
miejsca! gromada idże. proletarjacki samum !
czapkami drogą wymościł taneczny krok rewolucji.

świat postawiony pod ścianę, jak mały, blady człowieczek,
mrugał bezradnie oczkami, gdy kolbyśmy wznieśli do ramion.
płakał zmartwiony hrystus o dusze swoich owieczek
gdy salwą gruhnęły lufy i śnieg się krwią popłamił.
nam-li dziś skomleć nad trupem, gdy hymnem tętni nerw,
czaszką o ziemię gźmościć i kszyczeć: nie pszeklinaj ! ?
do wszystkich okien i dźwi już wali kolbami mauzeruw
w łunach wshodzącej zoży wielka świetlana NOWINA !

robotnikom warszawy i todzi, czyje
uśmiechy zawsze oślepiają.



a potem pszyszły dñi,
dñi dziwne,
pełne purpurowej grozy
i krutkie, blade, pszerażone noce.
ulicami pędziły ciężkie autowozy
naładowane ludźmi, od bagnetuw ostre
i pełno było wszędzie lepkiej, skszepłej krwi,
jakby kto rozdarł wielką, zaropiałą krostę.

hodńnikami wałęsali się bladzi, dziwni ludzie
z błyszczącymi niesamowicie, wklęsłymi oczyma
i wszystko był dziwne mętne,
jak w gorączce.
czas się zatszymał.
dñi pszyhodziły śpiące
i noce koloru khaki.
nad pustymi ulicami żążyły się lampy,

żucając długie ćeń białe i czerwone.
po nocach, pod eskortą, zawsze w jedną stronę
wywożili żołńeże długie, czarne paki.

jednego rana żeki wygłodńałych ludzi
korytami zaułkuw spłynęły na plac
i kszyk miasto obudził:

te śćerwy!
oszukują nas władzą, ktorej ńe hća dać.
mami ih władzę gđżeś !
nam praw ńe potszeba !
ńeh nam dadzą hleba !
my — hcemy — jeść !!

na możu białym ćiho z dołu,
gdy pszyplýw okręt muj kołysze
pszykładam ręce tubą do ust
i kszyczę:
S Ł Y S Z Ę !!

coś się wyrwało z pętów tam,
kszyk zbuntowanej czarnej załogi.
czekajcie, sprute mam wyłogi.
powiodę wszystkich dzisiaj sam !
na cztery strony cztery drogi,
rozkładam ręce, wszystkie tam !

hodźcie tu,
wołam was, jak gustaw,
kturyh zapadłe w głąb policzki
pozwolą jasno mi policzyć
ileście dñi nie mieli w ustach.
czarñi, brązowi, biali braćca !
zgrajo obdarta i wyhudła !
gdy nocą księżyc wyjży z hmur,
jak szczury wyłazić z nur.
pełźnieć,
wlokąc nug swyh szczudła,
pod okna, gdzie pszy stołah żrą
za szybą natłoczonych baruw
sterty kompotuw i homaruw
drañe spaśone waszą krwią
i dziwne oczy wam się lśnią,
aż was nie spłoszy kszyk zegaruw.

gdy wiatr pułnocny dzewa chesze,

pszez taśmy gur po nocy widnej
od śnieżnych tundr do portu w sidney
widzę rozlane wasze żesze.
gdy w polach czarne ćeńe tańczą,
splątane w jeden długi łańcuch,
do miast spełzaće sę szarańczą,
śadaće ciho w progach dźwi
czuwać nad zdrowym snem mieszkańcuw,
kturym sę wtedy w snah
majaczą
kałuże czarnej, tłustej krwi.

o braća moi wszystkich ras
z europy, azji i ameryk,
ilu was jeszcze jest gdzie więcej,
armje zgłodniałe !
nowe stany!
nastąpił czas
i świat, jak kleryk
pszyjmuje hszest czerwonych święceń.
pujdźeće za mną dzisiaj tam,
gdzie żrą zamorskie mangustany !

opadała na miasto mgła jesiennej słoty.
był dzień głodny, bezbarwny, wilgotny, jak kanał.
w mokrej mgle po zaułkach do rana
kasłały kulomioty.



bzuhy nasze żelone, granatowe, śine,
takie lekkie pszedziwne, cęzą nam, jak więzy.
w dzień żujemy niesmaczną słodkockliwą ślinę,
a w nocy śśemy własny zskorupiały język.

w głowie huczą nam ciągle jakieś dziwne szmery
i straszna czczość w żołądku okropnie nas nudzi,
widzimy tylko w guze pszez okna suteryn
nogi szybko ulicą pszehodzących ludzi.

a nocą gdy zaśniemy strawieńi bezruhem,
poskręcawszy wyhudłe, popuhnęte członki,
śni nam się taki słodki prawdziwy baumkuhen
na dziedzińcu słonecznym sąsędniej ohronki.

wycągamy do niego ręce pszez sztahety,
węsząc palcami prużnę, jak ssawkami macek,
a małe, czyste dzieci i białe kobiety
kładą nam w nie pahnący ukrajany placek.

pożeramy ksztusząc się, kawałami, gwałtem
dobre, słodkie, pszedziwne, wypieczone často...
gdzieś blisko słyhać trąbki...

... to mięcutkie auta
pszysyła po nas wielkie, dobroczynne M I A S T O.

Final

na miękkiej trawie tważą do hmur
leżę ogromny hiński bogdyhan.
nie tknął mnie żaden piorun ni mur,
a jednak czuję, że zdyham.

i kiedy z estrad płonących jaśniej
ćiskam swoje ohłapy brutalny i wielki,
śmierć moja może dogryza już właśnie
moje ostatnie cukierki.

nie będę pisał wierszy. — jak pusty kłós są,
lecz wiem, że ci, co raz słyszeli je,
jak zarazę za sobą wszędzie pońosą
kaprysuw moih ewangelje.



ortografja według manifestu
autora z dnia 25 marca 1921
„w sprawie ortografji uprosz-
czonej“ („1-a jednodniówka fu-
turystów . manifesty futuryz-
mu polskiego. czerwiec 1921.“

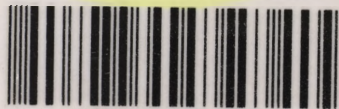
E R R A T A:

na str. 25 wiersz 4 od gury zamiast **dwony** powinno być **dzwony**

" "	28	"	5	"	"	"	mi	"	"	im
" "	35	"	3	"	dołu	"	zaćągnęli	"	"	zaćągnęli
" "	36	"	4	"	"	"	krzyk	"	"	kszyk
" "	37	"	2	"	gury	"	ekranie	"	"	ekrańe
" "	37	"	3	"	"	"	jacsy ludzie	"	"	ludże jacyś
" "	38	"	6	"	"	"	po co ;	"	"	po oo,
" "	44	"	9	"	"	"	mami	"	"	mamy

**Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu**

CM 314506



000-314506-00-0

DRUK UKOŃCZONO

5 maja tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku

w drukarni

L. M Ů N T Z A

w

s a n d o m i e ż u

dla

instytutu wydawniczego

„ŃEZALEŻNYH“